Rok z życia rewolucjonisty

Jacek Hummel

Jasnożółta gwiazda Gliese znikała powoli za planetą. Na Nowej Brytanii kończył się dzień. Mieszkańcy stacji planetarnej Nowy Plymouth stali pod kopułą i obserwowali ruch terminusa po powierzchni planety. Patrzyli z zainteresowaniem, na stacji była to jedna z rozrywek.

Tuż za terminusem, już wieczorem według czasu lokalnego planety, zaiskrzyły się niebieskie wyładowania elektryczności, jakby pioruny w trakcie burzy uderzały wielokrotnie w to samo miejscu. Nad wyładowaniami, widocznymi z orbity, pojawiły się czarne punkty. Po kilkunastu sekundach kropki zamieniły się w sześciany. Oto planeta, Nowa Brytania, wysyłała kolejny ładunek towarów na stację Nowe Plymouth.

Nie stałem razem z mieszkańcami, ponieważ teraz zaczynała się moja praca. Kołysałem się w fotelu i obserwowałem na ekranie zarówno wyładowania działa Gaussa na powierzchni jak i wskazania telemetrii. Moje dłonie poruszały się nad poręczami fotela, tak jakbym głaskał kule wielkości arbuza. Na ekranie widziałem jednocześnie jak dwa kilometrowe łańcuchy rozgrzewały się poruszając się wężowym ruchem, w rytm moich dłoni.

Nadlatywały kontenery wystrzelone z katapult elektromagnetycznych na powierzchni planety. Już były blisko. Komputer zaznaczył na zielono te kontenery, które mogę złapać, na żółto natomiast te ryzykowne, bo za szybkie lub za daleko. Trochę się zacząłem denerwować. Niby każdy jako dzieciak uczy się łapać piłki, chwytać lecące przedmioty, nabywa koordynacji, ale dla mnie to jednak był stres. Kilkunastotonowe kontenery pełne żelaza, drewna czy zboża, poczułem pot na czole, jeżeli ich nie złapię, potrącą mi z wypłaty karę.

Poruszyłem łańcuchami. Łańcuch lewy skoczył na spotkanie kontenera, końcówka wpięła się w łoże kontenera. Nie słyszałem, ale komputer podświetlił biczołańcuch na pomarańczowo pokazując największe naprężenia. Zacząłem ściągać takim delikatnym ruchem nadgarstka biczołańcuch, zmieniając wektor prędkości. Drugim biczołańcuchem złapałem jednocześnie kolejny kontener i też go powolutku kierowałem na kurs do doków stacji. Po minucie zwolniłem oba

zaczepy, a kontenery, podświetlone przez komputer, zgodnie z prawami starego Newtona, poruszały się dalej kursem już zbieżnym do stacji.

Po kilku pierwszych kontenerach, uspokoiłem się i wszedłem w swój operatorski rytm. Łapałem, ściągałem, puszczałem, znajdowałem następny. Nade mną w kabinie włączył się wentylator, ale po chwili przestał działać. Na czole znowu poczułem pot. W kabinie operatora powoli rosła temperatura. Znowu nie naprawili klimatyzacji.

Nagle od strony planety nadleciał biczołańcuch i uderzył w mój biczołańcuch. Oba biczołańcuchy splotły się na chwilę. Drugi operator szarpnął i rozerwał połączenie. Zakląłem pod nosem. Prawą ręką włączyłem nadajnik.

- Panie kierowniku, - zacząłem.

- Czego chcesz? Skup się na robocie.

- Widział Pan co się stało? Inny łańcuch zniszczył mój biczołańcuch.

- No i co ja mam Ci teraz zrobić? Pracuj jednym. Nadlatują kontenery. Zacznij robić to, za co Ci płacimy.

Kierownik się rozłączył. Spojrzałem na wyświetlacze. Zniszczony łańcuch był podświetlony na czerwono, jakieś serwomechanizmy nie działały, może nanostal popękała. Zacząłem drugim biczem łapać kontenery. Ale mogłem łapać tylko co drugi. Wyhamowanie i przekierowanie na nowy wektor zajmowało tyle czasu, że niektóre kontenery zaczęły mijać moją pozycję i odchodzić na orbitę planety.

Po kolejnej godzinie praca się skończyła. Wyszedłem z kabiny operatora. Byłem spocony, czułem się śmierdzący. Nie zdążyłem zrobić dwóch kroków po korytarzu, gdy podbiegł do mnie kierownik.

- Co tam się stało? Dlaczego nie przechwyciłeś wszystkich ładunków?

- Ktoś rozwalił mi łańcuch, przecież to zgłaszałem. - odpowiedziałem zirytowany.

- A, no tak, zapomniałem - odpowiedział kierownik.

- No to kto rozwalił mi łańcuch? Może przejrzyjmy zapis z kamer?

- Nie, to chyba nie jest konieczne. Zaraz wezwę ekipę naprawczą - powiedział kierownik, poprawiając nerwowo krawat.

- No, to masz do mnie pretensje, czy nie?

- Nieważne, idź podpisz papiery i fajrant.

Chciało mi się pić. W pokoju socjalnym, koledzy siedzieli na krzesłach. Grupka tu, grupka tam. Usiadłem przy wolnym stoliku ze butelką napoju izotonicznego. Pierwsze łyki przyniosły ulgę. Zacząłem się uspokajać. Kolejna zmiana dobiegła końca.

Patrzyłem na brudny stolik i myślałem, jak spędzę jutrzejszy wolny dzień, gdy do stolika podszedł Gen.

- Mogę się przysiąść? - zapytał Gen. Miałem w ustach duży łyk izotonika, więc tylko machnąłem ręką. - Jak zmiana?

- A, w miarę dobrze, choć znowu klima wysiadła.

- Słyszałem, że ktoś rozbił Ci biczołańcuch.

- No, tak. Mam wrażenie, że to był Pieter, ale nie mam jak przejrzeć logów, a kierownik jakoś tak nie szuka odpowiedzi.

- Ale nie dostaniesz kary za puszczenie kontenerów bokiem.

- Nie, chyba nie - powiedziałem poruszony.

- Powinieneś to ustalić. Mógłbym zrobić to za Ciebie, jako przedstawiciel związkowy.

- Nie, nie jestem zainteresowany tym całym związkiem.

- Nie rozumiem Ciebie Leo - powiedział Gen odchylając się na krześle. - Pochodzisz z planety, pracujesz, no, powiedzmy sobie to szczerze, nie jest najlepsza praca dla kogoś takiego jak Ty i kompletnie się nie angażujesz.

Słuchałem Gena w milczeniu. Czułem się niezręcznie. Chciałem już sobie pójść, ale nie wiedziałem, nie umiałem przerwać tej rozmowy.

- Bo może chciałbyś zmienić warunki pracy, walczyć o swoje? - kontynuował Gen.

- Co wy, chcecie zrobić strajk, walczyć z Dyrektorem?

- Może tak, może nie? Pytanie raczej brzmi, czy jesteś z nami?

- Przecież to się nie uda, dyrektor Wieniawa zrobi lokaut i pójdziecie na dół, na farmy zbierać ręcznie bawełnę, bez szans.

- I co Dyrektor zatrzyma wysyłkę? Kontrakty na towar z Ziemią zostaną zawieszone? On nas potrzebuje.

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że na każde nasze miejsce to pewnie na dole są dziesiątki chętnych.

- Naprawdę tak uważasz, że każdy by chciał pracować tutaj - Gen patrzył na mnie uważnie.

Potem mruknął coś na pożegnanie i podszedł do innej grupki kolegów.

Kilka tygodni później, siedziałem właśnie sieciówce Stacji. Dookoła mnie stały oddzielone ściankami boksy. W każdym z boksów, przy komputerze siedział jeden a czasem dwoje osób i grało w popularne gry. Ja natomiast, chyba jako jedyny, na ekranie monitora, w wysokiej rozdzielczości oglądałem obrazy malarza ziemskiego Kandinskiego. Zwykle tak spędzałem popołudnia, o ile dopchałem się do komputera. Czasem chciałem coś innego porobić, wyjść, pośmiać się jak inni, ale jakoś tak wychodziło. Poza tym i tak piwo po cenach stacji było super drogie.

W świetlicy włączyło się czerwone światło. W głośnikach umieszczonych nad wejściem zabrzmiał głos:

- Uwaga! Tu dowódca stacji, ogłaszam alarm dla stacji Nowe Plymouth. Powtarzam, ogłaszam alarm dla stacji Nowe Plymouth. To nie są ćwiczenia!

Rozejrzałem się po sali. Gracze rozglądali się wzdłuż przejść, w końcu patrzyli, że gry zostały zawieszone i ruszali z miejsc. Bibliotekarka, El, już stała w

drzwiach i przyjmowała karty dostępowe. Czyli to jednak nie żart, pomyślałem. Westchnąłem, wyjąłem kartę z komputera i poszedłem do wyjścia. Przy wyjściu podając kartę, popatrzyłem w oczy El, były strasznie błękitne. El delikatnie uśmiechnęła się lub skrzywiła się, nie potrafiłem tego określić.

W korytarzu przed kabinami operatorów już prawie wszyscy byli. Stali w niewielkich grupkach, wymieniając się uwagami szeptem. Wyszedł do nas kierownik, jak zawsze uśmiechnięty, jak zawsze w błękitnej koszuli.

- Słuchajcie! Nawigacja zauważyła wyjście frachtowca z tunelu Einsteina-Rosena. Nie mamy z nim komunikacji, to niezaplanowany transport. W tym miesiącu nikt nie miał przylatywać. - kierownik rozejrzał się po operatorach - Dowództwo podejrzewa, że jest to atak nieznanych, ale wrogich nam sił. Wsiadajcie do kabin, znacie swoje zadania, będziecie blokować doki i nie dopuszczać do abordażu.

Rozejrzałem się po kolegach. Zanim ktokolwiek zdążył wyrazić wątpliwości, że na pewno to wrogie siły, już niektórzy ruszyli do kabin i pociągnęli innych. Ruszyłem z innymi. Idąc, myślałem, to dziwne, dlaczego ktoś miałby nas atakować?

Po pierwszych minutach podniecenia, w ciszy kabiny uspokoiłem się. Zacząłem się zastanawiać, ile czasu tu spędzimy. Jeżeli wyszli z tunelu z rozsądną prędkością to kilka godzin. Oczywiście kazali nam obsadzić stanowiska od razu, a nie przed atakiem.

Kolejne godziny mijały. Zżymałem się na kierownika, że kazał nam wsiąść do kabin, a przecież można było łatwo wyliczyć, za ile czasu biczołańcuchy mogą być potrzebne. Oczywiście miałem nadzieję, że nie dojdzie do ataku. Nie byłem pewien, czy jestem gotów zabić ludzi, zniszczyć promy abordażowe. Nigdy wcześniej nie było takich alarmów. Statki wynurzały się z tuneli zgodnie z uzgodnionym harmonogramem.

Nowe Plymouth musiało mieć taki harmonogram, bo wysyłało w tunele Einsteina-Rosena, pod odpowiednim kątem, ładunki towarów, stali, żywności, półfabrykatów. Pod odpowiednim kątem, ponieważ wormhole były bardzo czułe na warunki wejściowe. Niewielka zmiana mogła spowodować, że ładunek zamiast na orbicie Jowisza w Układzie Słonecznym znajdzie się na stycznej do

Marsa.

Gdy już prawie zasypiałem z nudów, gorąca i znużenia, alarm został odwołany. Gdy wyszedłem spocony do koridora, razem z innymi operatorami zobaczyliśmy kierownika.

- To statek Towarzystwa Solarnego. - powiedział kierownik.

Zacząłem wiwatować razem z kolegami. Niektórzy z ożywieniem zaczęli się poklepywać się po plecach. Stojący obok kolega z szerokim uśmiechem na twarzy powiedział do mnie.

- Leo, super, ale dawno u nas nie byli. Będzie się działo.

- Prawda, pomyśl tylko, Towarzystwo Solarne, najnowsze dzieła kina, sztuki, nauki, a może nawet filozofii.

- Albo nowe wirtuale, nowe narkotyki, nowe gry, ale wiesz, Leo, co kto lubi? Co kto lubi?

Pokiwałem głową z szerokim uśmiechem. Aż się chciało mi znowu żyć. Zmęczenie minęło. Wizyty członków Towarzystwa Solarnego zawsze były ciekawe. Ach Towarzystwo Solarne, pomyślałem, najfajniejsza gildia naukowców, artystów i kupców. Choć towary Towarzystwa były zawsze drogie, to zawsze, ale to zawsze były to cudowne rzeczy, które można było łatwo zmultiplikować i podzielić się z kompanami.

Obserwowałem podejście statku do stacji na wielkich ekranach. Razem ze mną stało chyba z pół stacji. Statek Towarzystwa Solarnego wyglądał pierścień zrobiony z walca, ale przecięty z jednej strony. W pustej przestrzeni pomiędzy końcami pierścienia podobno umieszczony był napęd. Teraz statek był zwrócony tą pustą przestrzenią w kierunku stacji, gdy dopasowywał wektor do stacji.

Cieszyłem się z tego. Najpierw oficjalne przywitanie, pomyślałem, a potem wielka impreza na koszt stacji. Wszyscy byli zaproszeni. Darmowe jedzenie i różne napitki. Nawet z pracy zwalniali na ten dzień. No, normalnie święto.

Zwykłe przyjęcia dla świętowania rocznicy urodzin odbywały się zwykle w

aulach, gdzie odbywały się także zebrania komitetów czy szkolenia. Ale na potrzeby przybycia statku Towarzystwa dostosowano jeden z doków. Usunięto cały niepotrzebny sprzęt i zalegające towary. Podłoga została wyczyszczona, a dotychczas stalowe, szare ściany oświetlono tylko zmieniającymi się kolorami.

Nadeszła w końcu godzina przyjęcia. Przebrany w czysty kombinezon, stałem razem z innymi w tłumie. Niedaleko ustawiły się władze Stacji. Pomiędzy mieszkańcami Stacji a dostojnikami z góry zauważyłem przerwę na szerokość dwóch, może trzech metrów. Wraz z władzami Stacji stali właściciele firm działających na stacji, w tym sam pan dyrektor, Jan hrabia Wieniawa.

Wreszcie zobaczyłem gości. Zaczęliśmy spontanicznie wiwatować na cześć Towarzystwa Solarnego. Przedstawiciele byli zaskoczeni, uśmiechali się do nas. Niestety po kilku wiwatach, władze zaczęły przemowy. Powitania trwały jakoś krótko. Dowódca Stacji mówił tylko o obopólnych korzyściach, ale gdy Kierownik wyprawy zaczął mówić, nagle zagłuszyła go niewielka orkiestra stacji, która zaczęła grać suitę o nazwie Ze Starej Ziemi. Za krótko, pomyślałem, znacznie za krótko. Przecież zawsze te przemowy, wzajemne umizgiwania trwały tak długo.

Szczęśliwie udało mi się dostać przydziałowy kubek wina i pajdę chleba. Stanąłem przy ścianie i zacząłem się rozglądać się po sali. Orkiestra skończyła grać suitę. Trzech muzyków zaczęło grać wesołego giga. Na środku sali młodsze pary zaczęły się gibać w rytmie muzyki.

Nie czułem się zbyt dobrze na takich wydarzeniach. Nie znałem zbyt wielu osób, nie miałem jakiegoś wielkiego doświadczenia, choć z drugiej strony zwykle byłem tylko widzem. Czasem chciałem podejść do kogoś i pogadać, ale brakło mi pewności siebie. Wychowywałem się na planecie, na farmie. Być tam odważnym mogło się skończyć nieprzyjemnościami.

Stałem tak rozmyślając i popijałem wino. Powoli zaczynałem się nudzić. Zacząłem myśleć, że w świetlicy są teraz wolne komputery. Wino mi nie smakowało, było jakieś wodniste. W jaki sposób wyjść niepostrzeżenie z przyjęcia, pomyślałem. Spojrzałem w kierunku wyjścia, rozglądając, kto mnie zauważy.

Koło mnie, teraz zauważyłem, stał jakiś mężczyzna, był gładko ogolony w błękitnym surducie, ciemne włosy. Też rozglądał się z pierwszymi oznakami

nudy na twarzy. Zobaczył, że go zauważyłem.

- Słabe to wino - powiedział mężczyzna.

- Bywało gorzej - odparłem ostrożnie.

- Może i tak, a często ktoś do was przylatuje? - znienacka zapytał mężczyzna.

Zakłopotałem się, pomyślałem, może to jakiś prowokator szlachty.

- Przepraszam, nie przedstawiłem się, jestem Alek, to jest Aleksander Radek, przyleciałem z delegacją Towarzystwa Solarnego - powiedział mężczyzna, widocznie widząc moje zakłopotanie.

- Leo Dunahoe, miło mi. - powiedziałem - Proszę mi wybaczyć śmiałość, -Alek machnął kieliszkiem przyzwalająco - ale myślałem, że delegacja jest w strefie specjalnej, gdzie wino dają lepsze?

- Wiesz, Leo, mogę Ci tak mówić? - kiwnąłem głową, zaskoczony bezpośredniością Alka - Nie zawsze smakuje mi wino w tamtym towarzystwie, wszyscy ci hrabiowie i margrabiowie, cała ta szlachta, i ta mieszanka płaszczenia się przed Towarzystwem i wyniosłości, bo są taką szlachtą.

Pokiwałem bardziej z grzeczności.

- Ale nie chcę psuć wieczoru - powiedział po chwili Alek - przepraszam za te wynurzenia.

- Ależ nie ma sprawy, też nie lubię przebywać w towarzystwie szlachty.

Alek uśmiechnął się delikatnie i podniósł kubek w moim kierunku.

- Prosit!

- Prosit! - odparłem z uśmiechem.

Kilka tygodni po spotkaniu z Alkiem, siedziałem w sali komputerowej. Oglądałem na ekranie aukcję sztuki przywiezionej przez Towarzystwo Solarne. Tego szczególnego dnia wystawiano bardzo ciekawą rzeźbę abstrakcyjną i

zastanawiałem się, kto ją nabędzie. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem Alka.

- Leo, szukałem Ciebie - powiedział Alek.

- Cześć, Alek.

- Hmm, wiesz, że trudno Cię znaleźć. Jak na tak małą stację, nikt nie wie, gdzie kto jest - z uśmiechem powiedział Alek. - Co porabiasz?

- Obserwuję aukcję. Widzisz to nietypowa, nieznana tutaj rzeźba abstrakcyjna, którą przywieźliście, ale coś mnie w niej przyzywa, intryguje. Przykładowo, jakie czasy spowodowały, że ten artysta nie rzeźbił postaci, a linie i kwadraty?

- Ciekawe, nie o to mi chodzi, możesz mi poświęcić godzinę lub dwie? - zapytał się Alek.

- Sądzę, że tak.

- No to chodźmy.

Wyłączyłem komputer. O co mogło chodzić, zastanawiałem się. Czy ja mogę znać się z tym obcokrajowcem? Co na to władza? Alek już czekał w drzwiach. Ruszyliśmy przez stację. Alek do końca nie radził sobie z oznakowaniem drogi, ale miał jakąś ściągawkę czy inne wskazówki, bo jak nie był pewien, to spoglądał na ekran tableta.

Przeszliśmy przez kwatery mieszkalne. Gdzieś w połowie drogi zrozumiałem, że idziemy do magazynów, tych koło doków. Wielkie hale były zaprojektowane i zbudowane z własnym podtrzymaniem życia, tlenem, temperaturą. Nie wszystkie towary potrzebują ludzkich warunków do życia. Takie ziarno pszenicy, bez tlenu i w temperaturze dobrze poniżej punktu zamarzania wody przechowuje się znacznie lepiej, bez bakterii, bez owadów.

Przy drzwiach śluzy stał wysoki mężczyzna, ale kiwnął głową Alkowi jak znajomemu i przepuścił nas do środka. Weszliśmy, zobaczyłem niewielką wydzieloną salę wypełnioną skrzyniami komputerów, terminalami. Pod sufitem były podwieszone wiązki przewodów, wydaje się elektrycznych. Pomiędzy sprzętem, chodzili z tabletami ludzie w białych i szarych fartuchach. Od razu zauważyłem, że niektóre osoby to kobiety, w jeansach. Powietrze było suche i gorące.

- Alek, co to? - zapytałem się głupio.

- To jest serwerownia Towarzystwa Solarnego, a na co to wygląda? - ironicznie odpowiedział Alek.

- No, wiem, że jest to serwerownia. Na planecie robiłem przy czymś takim. No, tak - po chwili dodałem - widzę terminale, serwery, jest tu gorąco, więc rozpalacie moce obliczeniowe, ale po co?

- Chodź, pokażę Ci.

Poszedłem za Alkiem wzdłuż ściany, stały tam kolejne pokoje z prefabrykowanych elementów. Weszliśmy do jednego z takich biur.

- Sprawa wygląda tak. - zaczął mówić Alek - to co widzisz, to serwerownia na której uruchomimy nasze oprogramowanie, znaczy oprogramowanie opracowane przez Komitet Informatyczny Towarzystwa Solarnego.

- Ale co to za program? - przerwałem. - I co ja tu robię?

- Może od końca, chcemy Cię zatrudnić.

- Dlaczego?

- Potrzebujemy kilkunastu osób na miejscu, chciałem Cię polecić do tej pracy.

- Pochlebiasz mi - odparłem po chwili namysłu - ale obawiam się, że muszę odmówić. Jestem lojalny wobec mojej firmy.

- To Ci się chwali, ale dobrze - odpowiedział zawiedzionym głosem Alek - ale uważam, że tu byś się rozwinął, nauczył nowych rzeczy, po za tym ufamy Ci, a będziemy potrzebować osób lojalnych.

- Rozumiem, ale na razie nie planuję zmiany pracy. Ale, ale co tutaj robicie?

- Słyszałeś może o przetwarzaniu masowych danych?

- Przetwarzaniu danych, tak, każdy program to robi - odpowiedziałem z uśmieszkiem wyższości.

- Leo, masowe dane, chodzi mi o masowe dane, a nie o zwykłe. - powiedział

Alek - Jeżeli zbierzesz bardzo dużo informacji, przykładowo z systemu podtrzymania życia, dajmy na to, nie tylko to, że działa, czy nie działa, a raczej jaka jest temperatura, wilgotność, natlenienie, nasycenie dwutlenkiem węgla, zapylenie z kilkuset rozmieszczonych czujników, umieszczonych nie tylko u wylotów ale także w rurach wentylacyjnych, to będziesz miał masowe dane.

- Aha, ale jak każdy czujnik da Ci kilobajt na minutę, to kilkaset, dajmy na to tysiąc da Ci w godzinę sześćdziesiąt megabajtów danych. To nie jest tak dużo.

- No, ale jeżeli te czujniki przekazują szybciej dane, albo zbierają jeszcze inne informacje przykładowo obciążenie prądowe. To nie jest pytanie, jak dużo informacji dostanę, ale jak skorzystać z dużej ilości danych, które bardzo szybko się zmieniają i są bardzo różnorodne. Jak znaleźć trendy, przewidzieć problemy i zareagować wcześniej.

- No ale przecież teraz wystarczy, że na wejściu, korzystając z przykładu systemu podtrzymania życia, jest dwutlenek węgla, a na wyjścia tlen w proporcji jeden na cztery z azotem.

- Niby tak. Cóż, chyba muszę dopracować ten przykład. Myślałem, że jest oczywisty.

Spojrzałem przez okno pokoju.

- Czekaj, czy to nie czasem hrabia Wieniawa? - zapytałem się Alka.

- A tak, dyrektor Twojej firmy prawda?

- No, ale co on tutaj robi?

- Pewnie podpisuje umowę na zakup naszych algorytmów.

- Ale przecież my nie mamy setek czujników na biczołańcuchach? Gdzie tu te masowe dane?

- Cóż, my nie sprzedajemy czujników, my dostarczamy mechanizmy, programy, które je przetwarzają. - odpowiedział Alek - Tych samych algorytmów można użyć do kilku rzeczy, ale wszędzie do przetwarzania danych i podejmowania decyzji.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale te nowości nic a nic mi się nie podobały.

Tydzień później przed zmianą podszedł do mnie kierownik.

- Leo, słuchaj. Nie będzie dzisiaj Pietra. Bierzesz jego kontenery.

- Ale jak to ? Przecież idą innym kursem.

- Spokojnie, powiadomiłem wyrzutnię, pójdą trochę rzadziej, ale na Ciebie.

- Ale dlaczego? Co się z nim stało?

- Został zwolniony.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem co powiedzieć. Kierownik wydął wargi, westchnął i się odwrócił.

Siedziałem po ciężkiej zmianie w kawiarni i próbowałem wypić sok. Byłem tak zmęczony, że i tak bym nie zasnął. Przypominałbym sobie kolejne fale kontenerów, które próbowałem pochwycić i znowu i znowu od początku.

Zobaczyłem, że do środka zagląda Gen, zobaczył mnie. Gen ruszył w moim kierunku. Usiadł bez pytania.

- Słyszałeś? - zapytał się Gen.

- O czym? O wywaleniu Pietra? Tak, bardzo dobrze mu to zrobi.

- Nie o tym mówię. - odpowiedział Gen z niecierpliwością. - Nasz Dyrektor, trzeci syn hrabiego Wieniawy, załatwia nam wszystkim wyrzucenie z pracy.

- E tam, co on może? Nie zna się na robocie, bo pracę mu załatwił tato. Dobrze, że ta robota sam się kręci, bo inaczej miałby kłopot. - powiedziałem z niechęcią do Gena.

- Obawiam się, że teraz będzie gorzej. Słyszałeś o nowych programach Towarzystwa Solarnego?

- Nie, znaczy coś słyszałem, ale bez szczegółów. Jakieś masowe dane i algorytmy, prawda?

- A, to tylko przykrywka, oni przywieźli i sprzedają programy, które nas zastąpią.

Uśmiechnąłem się.

- Nie mogą nas zastąpić, komputery nie poradzą sobie z łapaniem kontenerów, to powszechnie znany fakt.

- Nasze komputery tak, nasze programy tak - odparł Gen - ale Towarzystwo wymyśliło nowe systemy. NIe tylko zbierają dane na masowym poziomie, ale także przetwarzają je. Podobno na innych stacjach ich oprogramowanie umożliwia latanie promami bez pilotów, potrafisz sobie to wyobrazić?

- Szczerze, to nie - odparłem - to brzmi jak jakaś magia.

- A teraz dyrektor chce to wprowadzić do nas. Zresztą już podobno wprowadził, dlatego niektórzy wylecieli z pracy?

- To nie jest dobrze, nie po to wyrwałem się z dołu, żeby teraz tam wracać.

- A co chcesz zrobić? Stać z boku? - powiedział Gen opierając się o krzesło i patrząc na mnie z ciekawością.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mam nadzieję, że to nas nie dotknie.

Rozstałem się z Genem w niewyraźnych humorach. A jednak parę tygodni temu zostałem razem z całą załogą zwolniony. To nie były dobre dni, ani dla mnie, ani dla stacji. Niektórzy z nas poszli do sądu o wynagrodzenie i odszkodowanie, ale sądy potraktowały te sprawy jako niepotrzebne i jeszcze obciążyły kosztami prac kolegów. Sądy od zawsze brały stronę szlachty.

Po kilku dniach wolnego, zrozumiałem, że za chwilę wyrzucę mnie na dół. Na stacji, kto nie pracuje, ten nie ginie, po prostu wraca na powierzchnię planety. Według szlachty, nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad, ekstradycja na powierzchnię. Kto wracał na dół, musiał spłacić dług poprzez pracę na

plantacjach, w słońcu, na akord.

Nie chciałem tam wracać. Szczęśliwie wiedziałem cokolwiek na temat komputerów i nająłem się do pracy w Towarzystwie Solarnym. Pierwsze zadania były proste. Skonfiguruj serię czujników, dajmy na to, zużycia tlenu, załóź czujniki, dołącz do materny-wspólnej sieci urządzeń, sprawdź czy działają, powtórz. Każdy mógł to robić.

Trudność pracy powoli wzrastała, ale ciągle nadążałem. W końcu nie tylko zbierałem dane, ale miałem dostęp do stacji analitycznych. Praca była stresująca, dużo pracy w ciągu zmiany, odmienna od wcześniejszych dyżurów. Więcej czasu zacząłem przesiadywać w barach stacji, po prostu starając się zrelaksować. Czasem żałowałem, że nie chodzę do świetlicy zobaczyć El. Gdzieś czułem, że nie ma u niej szans.

Siedziałem właśnie przy stoliku w barze, próbowałem się nad swoim życiem zastanowić. Po co pracuję? Co ja z tego mam? Dlaczego nie może być tak jak zawsze, tylko wszystko musi się w końcu zmieniać? Wypity cydr nie pomagał zebrać myśli.

Wokół mnie siedzieli różne osoby, ale raczej nie było tutaj dyrektorów czy kierowników. Nie te smaki, albo nie te towarzystwo. Rozglądając zauważyłem też znajomych z pracy, siedzieli w grupce i się śmiali. To chyba byli analitycy. Uśmiechnąłem się do jednego z nich, tego który się rozglądał po sali, podniosłem kieliszek w geście pozdrowienia. Uśmiechnął się do mnie i również podniósł swój kufel.

Nieco później, gdy siedziałem zatopiony w czarnych depresyjnych myślach, ktoś mnie poklepał po ramieniu. Naprzeciw mnie usiadł kolega, którego pozdrawiałem.

- My chyba pracujemy w jednej firmie - powiedział.

- Tak, też odniosłem takie wrażenie, ja w operacjach, a Ty?

- Konsulting - po chwili dodał - Berg jestem.

- Leo, miło mi.

- I jak jest w operacjach, Leo? - po chwili zapytał się Berg.

- Ciężko, dużo zadań, wszyscy na Stacji chcą korzystać z tej technologii.

- U nas też, ciągle nowe zestawy danych, które musimy przetworzyć, i najlepiej w kolorowy raport i od ręki. - Berg wziął łyka piwa - Wiesz, czasem sobie myślę, że pracuję w jednej wielkiej fabryce, tylko nie przy tokarce, ale przy komputerze.

- Ot, Towarzystwo Solarne, ostatnim razem też tak było - zacząłem wspominać - tylko więcej było kultury, filmów, skeczy, seriali, obrazów. Też wszyscy je chcieli mieć jak najszybciej, żeby pokazać się, że są kosmopolitami, że są tacy wspaniali - wziąłem łyk - No nie wiem, ja zobaczyłem kulturę chyba na końcu. Tam, gdzie byłem skierowany do pracy, na dole, to nam nie pokazywano filmów. Kino było raz w tygodniu.

- Na dole? - zapytał się Berg.

- No, na planecie - wyjaśniłem - pracowałem na plantacji trzciny cukrowej, ale potem jak byłem pełnoletni, to za wyniki w testach wysłali mnie na kurs, a potem posłali mnie na stację.

- A, no tak zapomniałem, że wy jesteście jeszcze społeczeństwem feudalnym.

- No bo jest najbardziej stabilne. Każdy wie, gdzie jego miejsce.

- Tak mówią, tak mówią - powiedział Berg z przekąsem. - Chciałem Cię o coś zapytać, ale nie wiem, czy mogę, czy Cię zwyczajnie nie obrażę. Chodzi mi o społeczeństwo feudalne - dodał po chwili i dość dużym łyku piwa.

- Dobrze, to w takim razie co to za pytanie?

- Czy jesteś zadowolony ze stanu rzeczy, z tego, jak się układają tutaj sprawy?

- Tutaj, znaczy na planecie, czy na stacji?

- No szeroko, w tym układzie planetarnym.

Zasępiłem się. Niby miałem dobrze, ale ilu miało gorzej. Niby ich życie, ich sprawa, ale co jak mi się powinie noga i wrócę na dół, to przecież prosto na plantację, albo do kopalni, albo do huty. Nie wiedziałem, gdzie teraz na planecie najgorzej.

- Nie, nie jestem zadowolony, kilka rzeczy mi się nie podoba.

- Przykładowo … - zagaił Berg.

- Przykładowo, to, że trzeci syn hrabiego więcej znaczy niż ja, gdzie ojciec był robotnikiem, a matka nie mogła pracować w polu, to była nauczycielką. A ja, mnie się wydaje, że ciężej pracuje, niż taki paniczyk. Myślę, że nie podoba mi się, że wysłali mnie tu jak jakieś kartofle. A na dole straszna bieda jest. Podobno policja jeździ i strzela do ludzi na ulicach. To mi się też nie podoba.

- Hmm - zadumał się Berg - tak jak podejrzewałem, nie jesteś zwykłym robotnikiem, obserwujesz, jesteś bystry.

- Ale czego Ty chcesz ode mnie? - uniosłem się.

- Spokojnie - powiedział Berg - jest na Ziemi, starej Ziemi, związek Information Workers of the World Wide Web, czyli międzynarodowy związek pracowników informacji. Związek ten, jako wyraz niezgody na zastany świat i jego niesprawieliwość, ma cele. Chcemy edukować się, zorganizować i walczyć o lepsze jutro, bo żyjemy w przededniu lepszego świata…

Perorę Berga przerwał silny hałas dobiegający z korytarza. Po chwili drzwi do baru trzasnęły mocno i do środka wdarł się tłum ludzi, ubranych w fartuchy Towarzystwa Solarnego.

- No co to się stało? - zapytał się na głos Berg. - Przepraszam na chwilę.

Berg wstał od stołu i podszedł do grupki. Pomyślałem, że też podejdę, ale miałem opory, czułem się niezręcznie, nie chciałem, żeby mnie potraktowali z góry. Po chwili Berg usiadł z uśmiechem.

- Dostaliśmy wiadomość z planety, że nasza delegacja odniosła wielki sukces. Arystokraci, rządzący, ministerstwa, praktycznie wszyscy kupili lub zamówili u nas systemy, które tutaj wdrażamy.

- To wspaniała wiadomość - powiedziałem uśmiechnięty. Również mi udzieliła się ta radość.

- Tak, dla Towarzystwa Solarnego i dla Związku Informatyków. Ktoś kiedyś powiedział, że władcy sami sobie kupią sznur na którym zawiśnie ich władza.

- Czyli te algorytmy masowej daty można wykorzystać przeciwko szlachcie?

Berg uśmiechnął się szeroko i więcej mi już na ten temat nie powiedział, tego wieczora rozmawialiśmy tylko na inne tematy.

Praca dla Towarzystwa Solarnego była bardzo dobrze płatna. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy gdziekolwiek zarabiałbym tak dobrze. Zdawałem sobie sprawę, że ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie, w sensie delegacja w końcu odleci do kolejnych klientów. Ale z drugiej strony, stać mnie wreszcie było na lepszą kajutę, na wyjścia do barów. Czasem marzyłem, że zaproszę dziewczynę ze świetlicy, El, na kawę, ale zawsze coś było ważniejsze.

Moi nowi przyjaciele, Alek i Berg, chyba nie znali się za dobrze. Ale widywałem ich obu dość często. Alek wyjaśniał mi różne sprawy związane z przetwarzaniem masowych danych, a Berg rozmawiał ze mną, dlaczego świat wygląda tak jak wygląda.

Niestety nie zawsze tak było ładnie jak na filmie. Raz spotkałem się z Alkiem na kawie. Alek był bardzo wzburzony.

- Wiesz, Leo, nie na to się pisałem - powtarzał Alek.

- A na co się pisałeś? Daliście nam technologię? Daliście.

- Ale mieliśmy pomagać, optymalizować, a nie pomagać utrzymać niesprawiedliwość i pomagać krzywdzić ludzi.

- Sam mówiłeś, coś się zaczyna, coś się kończy. Dzisiaj tej pracy nie ma, ale jutro będą gdzie indziej.

- No tak, ale szlachta na planecie nie wykorzystuje przetwarzania masowych danych do szybszego transportu czy optymalizacji produkcji. Oni analizują działania aktywistów, aktywistek, tych, którzy chcą równego traktowania. A potem ich zamykają za to, że źle się zachowują.

- Nie, to niemożliwe - powiedziałem zaszokowany. - A co z kartą praw człowieka? Żaden człowiek nie może być więziony bez sądu.

- Podobno szlachta tylko wskazuje, że pozostawienie na wolności danego człowieka może prowadzić do przestępstwa. Ale nie mają dowodów, tylko trendy.

- Wszyscy się na to zgadzają?

- Ja nie wiem, dowiedziałem się, że naszych pracowników na dole jakaś jednostka policji szykanowała, żeby nic nie mówili. Ale oni opowiedzieli o znikających w więzieniach nauczycielach, co za dużo mówią, prawnikach, co się na to oburzają, robotnikach, którzy chcą strajkować, informatykach, co sabotują takie zadania. Ale przecież tu, i na dole nie ma wolnej prasy, nie ma możliwości takiej pewnej sprawdzenia tych doniesień. - podniesionym głosem tłumaczył mi to Alek.

Po tej rozmowie, zacząłem mieć podejrzenia, że Towarzystwo Solarne nie jest tylko kompanią handlową. Ich przedsięwzięcia były handlowe, kierowali się zyskiem, ale jednocześnie, tak jak słyszałem, czasem niektóre rzeczy oddawali, praktycznie za darmo. Zastanawiałem się, jak długo będą tak się dziwnie zachowywać, odnosiłem wrażenie, że arystokracja zacznie mieć ich dość i zamknie ten cały kram.

Jakiś czas potem odwiedziłem swoją siostrę Joan. Sprowadziła się kilka lat temu wraz z mężem Karlem na stację. Karl pracował w jakiejś małej fabryczce, a ona pracowała w administracji stacji. Mieszkali w dość dobrej części stacji, zawsze był prąd i ostawały się lampy na korytarzach. Rozmowa szybko nam zeszła na Towarzystwo Solarne, było to w końcu duże dla nas wydarzenie.

- Dobrze, że dla nich pracujesz, brat - powiedziała Joan.

- Martwię się, żeby tylko całe te masowe dane nie skończyły się jakoś nieprzyjemnie.

- Jak to?

- No, mnie zwolnili z pracy, bo algorytmy masowych danych były szybsze niż ja. Słyszałem, że tak się dzieje w innych miejscach na stacji. Zaraz zaczną nas wyrzucać na dół.

Karl podniósł wzrok znad czytnika i powiedział:

- A wiesz, że ich algorytmy pomagają mi pracować?

- Przecież produkujecie jakieś dingsy, a te algorytmy muszą mieć dużo czujników i danych, żeby zaczęły działać - powiedziałem zdziwiony

- A nieprawda, one też mogą pomóc, jak już masz bazę danych? Na ten przykład, mieliśmy dane z produkcji, ile z czego zrobiliśmy, dane ze sprzedaży, koszty i zyski za ostatnie, nie wiem, siedem lat. Dyrektor, hrabia Branicki, zamówił usługę i daliśmy im te dane. Sam im przekazywałem kości pamięci. A kilka dni później przysłali Dyrektorowi raport. Potem inaczej zorganizowaliśmy produkcję, tych, jak ty to nazwałeś, dyngsów, i teraz robimy je o piętnaście procent więcej z tego samego materiału. Kolega majster jest zafascynowany, bo te zmiany wcale nie były takie duże. Tam przesunęli robotnika w inne miejsce, gdzie indziej dali inne wzory do odlewów, i już. Piętnaście procent.

- Karl, przestań mi zamęczać brata, nie gadaj o pracy - z uśmiechem Joan lekko uderzyła męża.

- Tak tylko mówię -odparł Karl.

- No to pozytywny przykład. - powiedziałem z uśmiechem. - Ale słyszałem, nie pytajcie się skąd, że na dole wykorzystują, żeby nas gnoić, w sensie jak ktoś nawet się nie przeciwstawia, ale sprawia takie wrażenie, to go zamykają bez sądu, bez śledztwa, tylko w jakichś specjalnych więzieniach.

- No, widocznie sobie zasłużył na takie traktowanie - powiedział Karl. - Nie mówię złego słowa na szlachtę, to patrz, żyje mi się dobrze.

- Karl, ty jak coś powiesz, to nie wiem, co ja w Tobie widziałam, jak za Ciebie wychodziłam - już poważnie powiedziała Joan.

- A co ja Ci zrobiłem? A nie jest tak jak mówię.

- Nie możesz patrzeć tylko na swoją sytuację, żaden człowiek nie jest samotną wyspą, jak kogoś z nas więżą, to zaraz i nas mogą uwięzić, prawda Leo?

Przytaknąłem.

- Nie pytaj się komu bije dzwon, bije on tobie - zacytowałem z pamięci wpis na jakimś forum.

Oboje, Karl i Joan spojrzeli się na mnie, a potem na siebie.

- A co to jest dzwon? - zapytał się Karl.

Też nie wiedziałem, roześmieliśmy się głośno i już nie wracaliśmy do tej sprawy, ale wieczór minął nam bardzo przyjemnie.

Praca pracą, ale czułem, że coś się dzieje na stacji i w Towarzystwie Solarnym. To była taka delikatna zmiana warunków, jakby wentylator na korytarz znowu się wyłączył. Nie czujesz z początku braku powietrza, ale jakimś wewnętrznym słuchem słyszysz brak delikatnego brzęczenia tego wentylatora.

Pewnego dnia siedziałem nad kawą w pokoju socjalnym. Za mną usiadły dwie analityczki, jedną z nich znałem jako Iolę, a druga chyba była z innego projektu. Zaczęły rozmawiać. Mówiły do siebie, ale słyszałem je bardzo dobrze, choć nie chciałem podsłuchiwać.

- Ale słyszałaś o tym, jak się tutaj planuje naszą pracę.

- Normalnie, każdego dnia kawałek zrobić i kawałek pracy oddać.

- Nie, chodzi mi o to, że coraz więcej czasu poświęcamy na zadania, które nie są związane ze zleceniem.

- Dostajemy takie zadania w systemie i na nie reagujemy, nieprawdaż?

- Ale nie widzisz dużego obrazu ? - zapytała się Iola ze zdziwieniem.

- Wiesz, ja jestem stąd, ze stacji, nie do końca interesuje mnie duży obrazek, mam dzieci, męża, chcę się nimi interesować i nimi zajmować.

- No, ja Cię rozumiem. Tylko zadania, które wykonujemy, to tak jakbyśmy chcieli wesprzeć jakiś ruch, jakieś przedsięwzięcie.

- Jak to rozumieć? Masz jakiś przykład?

- No, trochę tak. Wczoraj musiałam przerwać zlecenie dla jednej z fabryk, bo weszło zgłoszenie o wyższym priorytecie, żeby analizować duże pakiety danych. Te masowe dane były dziwne, nie było dat ani nic takiego, ale układały się w bilans ekonomiczny, wiesz, w sumie niektóre zmienne sumowały się do zera, a obserwacje miały taki przebieg roczny.

- Wiesz, może to Ty? Może za dużo pracujesz? Bo to co mówisz, wcale nie wykazuje priorytetowego przedsięwzięcia.

- Może rzeczywiście - Iola zabrzmiała niezdecydowanie.

Po chwili dziewczyny zaczęły dyskutować o modelu wprowadzanym w jakimś projekcie. Skończyłem kawę i wróciłem do pracy, ale myślałem nad tym potem, co jest celem Towarzystwa Solarnego. Nie znajdowałem jednak odpowiedzi na to pytanie.

Dlatego zaskoczony byłem, gdy Berg mi o tym powiedział. Siedzieliśmy właśnie nad ciastkami w jednej z większych cukierni na Stacji. Berg jadł sernik, ja jadłem szarlotkę. Berg siedział przodem do drzwi wejściowych, w takim boksie. Rozmawialiśmy na temat ostatnich doniesień z planety o zwiększeniu plonów i przyśpieszeniu eksportu do Układu Słonecznego.

- I tak właśnie działają te algorytmy - skończył wypowiedź Berg.

- Ale nie rozumiem, co tutaj robi Związek Informatyków. W tym układzie, nie ma miejsca dla związków zawodowych. Nawet, zdaje się, w Towarzystwie Solarnym.

- Tak, na tym świecie wszelkie formy organizacji są skazane na porażkę. Z drugiej strony, samoorganizacja, samopomoc, jest podstawą wszelkich grup społecznych. Gdzie bylibyśmy, gdybyśmy nie współpracowali jako gatunek?

- Wiesz, ja to rozumiem, ale z drugiej strony nie ma jak przenieść władzy od obecnej elity do wszystkich.

- Dlatego też, ale mówię Ci to w zaufaniu, próbujemy wykonać pewne zmiany niejako poza elitami. - powiedział przyciszonym głosem Berg.

- O, to ja nie wiem, czy się nadaje, nie chcę spędzić życia w więzieniu - powiedziałem szybko.

- No, niestety, ale to jest ten moment, w którym musisz się zdecydować, jakie są Twoje marzenia.

- Jak to?

- Do dzisiaj wspierałeś nasze plany, ale pośrednio, bez zaangażowania.

Patrzyłem na Berga zmieszany.

- Tak, nie patrz się tak, w przeciwieństwie do szlachty, my interesujemy się każdym z nas, teraz i w przyszłości. Dlatego teraz powiedz, o czym marzysz?

- O szczęściu dla wszystkich! - powiedziałem z przekonaniem.

- Mogłeś się wielokrotnie zaangażować, ale zawsze coś stawało Ci na drodze. Nie, raczej nie jesteś zainteresowany powszechnym szczęściem.

- No to nie wiem.

- No właśnie, do tego zmierzałem - powiedział poważnie Berg. - Żyjesz, pracujesz, ale nieprzemyślanym życiem żyć nie warto. Potrzebujemy Cię. Działanie w Związku może być sensem Twojego życia. Działanie na rzecz przyszłości, działanie na rzecz wolności, równości, braterstwa, w kierunku postępu spowoduje, że staniesz się prawdziwym człowiekiem, kolejnym w szeregu takich ludzi jak Marks, Luksemburg czy Lenin.

- Nie znam ich - powiedziałem ostrożnie.

- Ale wstąp w nasze szeregi, a na pewno ich poznasz.

Siedzieliśmy w milczeniu. Popijałem kawę i zastanawiałem się. Nie podobało mi się to moje życie, niby sztuka, książki, przyjaciele, ale takie życie wiedli wszyscy. A potem umieraliśmy i nic nie pozostawało po nas. Po szlachcie to jakiś pomnik, albo budynek nazwali, a my, robotnicy, znikaliśmy w kolejnych pokoleniach w ciemnościach przeszłości. Odetchnąłem głęboko.

- Wchodzę w to. Za przyszłość! - podniosłem kubek kawy, Berg z uśmiechem przyłączył się do toastu.

Po chwili, zadałem pytanie.

- Słyszałem taką dziwną rozmowę.

- Tak?

- Dwie analityczki rozmawiały o danych masowych bez dat, bez indeksów czy innych znaczników, ale takich jakby budżet, czy coś, bo wewnętrzne połączenia wskazywały na rekordy zerujące.

- A to ciekawe! Niektórzy nie powinni tyle mówić, ale to i tak wyjdzie na jaw. W końcu. Analizujemy nie tylko stosunki społeczne na stacji, ale także ekonomiczne. Interesuje nas kto i gdzie przejmuje wasze pieniądze. Znaczy wiemy, że szlachta, ale chcemy się dowiedzieć jak działa gospodarka Stacji.

- A, nie rozumiem.

- Spokojnie, najpierw Twoje pierwsze zadanie.

Tu Berg tajemniczo się uśmiechnął i pochylił się ku mnie.

I tak zaczęła się moja przygoda ze Związkiem. Początkowo robiłem to samo co wcześniej, ale kilka dni później spędziłem kilka godzin w czytelni zamienionej w salę szkoleniową. Dostałem dużo materiałów do czytania. Mój tablet został wymieniony na inny model, część aplikacji była jawna, a część programów wymagała, aby wpisać hasło, albo zbliżyć oko do aparatu tabletu.

Niestety ani ta początkowa działalność, ani kilka tygodni później nie była podniecająca, ciekawa czy wdzięczna. Chodziłem po kajutach do różnych osób, zostawiałem dokumenty. Nosiłem nowe tablety, zabierałem stare. A do tego normalnie pracowałem. Koledzy ostrzegli mnie, że właśnie teraz muszę pracować i zachowywać się nieskazitelnie w pracy.

Kilka razy dostarczałem pliki z książkami przygotowanymi przez I4W. Policja strasznie się nami interesowała, zaczepiała, próbowała sprowokować. Zawsze udawało mi się, chyba fartem, uciec z pułapki. Niektórym się nie udało. Odprowadzaliśmy ich do promu w ostatniej drodze na dół.

Byłem kilka tygodni później na spotkaniu i przekazywałem nośnik pamięci z książkami, gdy wtem rozdzwoniły się notatniki. Kolejne segmenty stacji były zamykane w związku z podejrzeniem dekompresji. Zanim zdążyłem odebrać inne wiadomości, sieć stacji przestała działać. Wyszedłem na korytarz, ale

naokoło mnie wiele osób zadawało sobie i innym takie samo pytania, o to co się stało. Zobaczyłem znajomą z I4W, zamachałem do niej frantycznie. Ina podeszła do mnie.

- To nie wiesz - zapytała się Ina.

- Nie, sieć przestała działać. - odpowiedziałem.

- Pamiętasz? Ewolucja, kolaps, magnetohydrodynamika, feminizm? - Ina patrzyła mi w oczy, ale ukosem zauważyłem, że włożyła dłoń do kieszeni. I wtedy sobie uświadomiłem. Słowa hasła.

- Rewolucja - wyszeptałem do Iny.

- Tak, wiesz co masz robić?

- Chyba tak. - powiedziałem drżącym głosem.

- Spokojnie, to dla mnie też jest pierwsza rewolucja. - powiedziała Ina, ale jej oczy błyszczały radośnie. - Przypomnij sobie, kto jest w Twojej grupie, idź na miejsce spotkania, hasło odblokuje szczegóły na Twoim notatniku. No w drogę!

Po chwili nie widziałem już Iny. W czasie rozmowy na korytarzach zrobił się straszny tłum, jakby wszyscy wyszli z kajut na raz. Ruszyłem, ale tłum nie pozwalał mi poruszać się zbyt szybko. Stanąłem we wnęce i przeładowałem notatnik. Gdy notatnik startował nowy system operacyjny, zobaczyłem, że niektórzy z zebranych również robią coś przy swoich notatnikach. Inni natomiast patrzyli na notatnik i czytali jakieś zawiadomienie świecące im w twarz błękitem.

Notatnik przeładował się. Przeczytałem pierwsze komunikaty. Otrzymałem pierwsze zadania. Zorganizować blokadę korytarzy w swoim sektorze. Trochę to odbiegało od planów, ale planowanie nie zastąpi działania, tylko oswaja strach. Przełknąłem ślinę.

- Obywatele! - próbowałem krzyknąć, ale głos z nerwów uwiązł mi w gardle, raczej wychrypiałem. Odkaszlnąłem i usłyszałem.

- Obywatele! - jasnowłosa, szczupła kobieta kilkanaście metrów dalej zwróciła się do wszystkich - Nadszedł czas zrzucenia jarzma szlachty! Nadszedł czas

rewolucji! Do nas należy przyszłość!

Ludzie spoglądali się po sobie, nie do końca nie wiedzieli, co robić. Słuchać się kobiety, udawać, że nic się nie stało. Zobaczyłem, że niektórzy mężczyźni ruszyli do tej kobiety. Nie wyglądali na pracowników, raczej bokserów. Czyżby tajni agenci policji?

Przysunąłem się bliżej. Zauważyłem, że kobieta miała na sobie zwykłą bluzę i spodnie od kombinezonu roboczego. Kobieta otworzyła usta do następnego wezwania. Jeden z mężczyzn, taki krótko ostrzyżony na jeża, powiedział:

- Zamknij się, głupia.

Kobieta spojrzała na niego jak na głupiego pieska, delikatnie uśmiechnęła się, tak kącikiem ust, i krzyknęła:

- Obywatele!

W tym momencie jeżyk ruszył do kobiety. Byłem przygotowany, żeby ruszyć na pomoc, ale zanim się ruszyłem, inni wokół jeżyka złapali go za ręce i pchnęli na ziemię. Upadł. Odwrócił się do napastników.

- Jestem przedstawicielem policji - powiedział.

Jeden z tych, co go złapali, uderzył go w twarz.

- Zamknij się, sługusie szlachty.

Kobieta krzyknęła:

- Obywatele! Do broni! Zablokujmy korytarze, utwórzmy radę tego osiedla i połączmy się z siostrami i braćmi, by razem zrzucić jarzmo, które nam szlachta nałożyła na plecy!

Naokoło niej zbierali się ludzie. Ta akcja policji coś zmieniła. Ludzie z tłumu przestali być pracownikami, stali się obywatelami. Odwróciłem się od tej kobiety i powiedziałem do najbliższych osób:

- Co mamy do stracenia? Nic. A co możemy zyskać?

- Przyszłość - łamiącym się głosem odpowiedziała jedna z tych osób.

- Przyszłość - powiedział głośniej mężczyzna stojący koło niej.

- Przyszłość - krzyknęli już razem.

Krzyk ten za chwilę został powtórzony przez innych. Po kilku sekundach, cały korytarz skandował: Przyszłość, Przyszłość.

Poczułem na ramieniu drobną dłoń. Odwróciłem się. Spojrzałem w błękitne oczy jasnowłosej kobiety, która przed chwilą zaczęła walkę.

- El - powiedziałem - Ty tutaj?.

- Leo - powiedziała dziewczyna z biblioteki. Zanim straciłem się w jej błękitnych oczach, dodała - wszystko, co stałe …

- … rozpływa się w powietrzu - poprawnie zakończyłem jedno z haseł.

- Musimy zablokować korytarze, zorganizować pomoc i przygotować kolejne kroki naszej walki. - powiedziała pewnie El.

W tle ludzie, nie nie-ludzie, obywatele przestali krzyczeć “Przyszłość, przyszłość”. Patrzyli na siebie z nowoodkrytą dumą.

- El, za Tobą. - powiedziałem z uśmiechem. El uśmiechnęła się do mnie i nagle cały ten czas bycia samym, pracy, udręki, stał się nieistotny. El na jednej stopie odwróciła się ode mnie.

- Obywatele! Musimy zablokować korytarze - zaczęła perorować. Dzieliła zadania, mówiła, co kto ma robić. Idealnie jak w szkoleniach, delegowała zadania, ale od razu rozwiązywała drobne problemy.

Kilka godzin później uniemożliwiliśmy przejście policjantom na odsiecz swoim kolegom z doków. Wiedzieliśmy, że rewolucja objęła większość stacji. Silne siły policji były obecne przy kapitanacie, ale policjanci nie byli agresywni, nie chcieli bić się ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi.

Zablowaliśmy zatem każde z dojść do sali, a wszyscy poszliśmy na centralę podtrzymania życia. Wtedy padły pierwsze strzały. Szlachta nie chciała oddać

kontroli nad systemami podtrzymania życia.

Niestety czasy się zmieniły. Pierwsze ofiary wzbudziły w nas wszystkich rodzaj szału bitewnego. Zanim zdążyłem zauważyć, już kolejne osoby, zwykli ludzie szturmowali drzwi, uderzali w nie, podkładali ładunki i uruchamiali je nie patrząc na swoje bezpieczeństwo.

Kilkanaście minut później zdobyliśmy centralę. Sądziłem, że teraz odpoczniemy, będziemy mogli skonsolidować swoje siły. Niestety, czas naglił. Planeta wysłała w naszym kierunku promy wypełnione wojskiem. Znów jak za dawnych lat usiadłem w kabinie operatora i poruszałem biczami.

Słyszałem wyraźnie w słuchawkach nawoływania, aby promy się wycofały lub chociaż weszły na orbitę. Ale oni nie chcieli odpuścić. Na ekranie widziałem wektor prędkości promów i potencjalną trajektorię. Wskazywała na doki stacji. A łańcuchy były sprawne.

W tym momencie, zacząłem się zastanawiać, czy nie dałoby się przeprowadzić rewolucji bezkrwawo. Bez ofiar, bez cierpienia, z korzyścią dla wszystkich. Przecież o to chodziło z rewolucją, aby nam wszystkim było lepiej. Abyśmy wszyscy mieli fajne i ciekawe życie.

Cztery promy zbliżały się do stacji. Każdy z nich zapewne wiózł kilkunastu żołnierzy z bronią, pancerzami czy granatami. A ja patrzyłem się na zbliżające statki i słuchałem coraz bardziej natarczywych wezwań kontroli stacji do zmiany wektora podejścia. Czy przeżyjemy inwazję, czy spotkam się z El? - tłukło mi się po głowie - czy zepchnę ich łańcuchami?

W końcu byli w moim zasięgu. Delikatnie poruszyłem biczem, aby dotknąć i zepchnąć prom z podejścia. Niewielka zmiana tutaj spowodowałaby konieczność rezygnacji z dokowania. Ale pilot promu uruchomił chemiczne silniki i zaczął przeciskać się przez biczołańcuch. Zobaczyłem, że na biczu pojawiają się naprężenia, prawie zaczyna pękać. Oparłem drugi bicz, żeby zapewnić podparcie i nie pozwolić na uszkodzenie.

To było za dużo dla powłoki. Oba bicze zanurzyły się w zewnętrznym poszyciu promu. Z promu zaczęły wyciekać gazy, które nadały przyśpieszenie boczne statkowi. Prom zaczął się obracać wokół własnej osi. Zanim zdążyłem wycofać bicze, rozpruły ćwierć promu.

Wtedy wypuszczone gazy dotarły do płomieni silników rakietowych. Jasnobłękitny płomień poleciał wzdłuż promu i wniknął do wnętrza przez rozdarte poszycie. Prom oderwał się od biczy, a potem w środku dziury pojawiły się płomienie. Piloci pozostałych promów zmienili kierunek i weszli na orbitę synchroniczną do orbity stacji.

W słuchawkach słyszałem komendę przerwania ognia. Nie wiem, kto krzyczał. Promy krążyły naokoło stacji, ale dla mnie czas się zatrzymał. Nie wiedziałem co się dzieje, chciałem tylko zatrzymać promy, odepchnąć z drogi, nie chciałem nikogo zabijać. Nagle za mną drzwi kabiny się otworzyły. Stał tam Gen.

- Chodź - powiedział - To nie Twoja wina.

Wstałem, nie czułem nic. Czułem, nie, nieprawda nic nie czułem. Szedłem za Genem, tam było co najmniej dwadzieścia osób, nie jestem mordercą, przecież za to mnie zamkną na zawsze.

Wyszliśmy na korytarz. Zobaczyłem tam kilkanaście osób, które stały w milczeniu. Nikt nie patrzył mi w oczy. Drzwi na korytarz się otworzyły. Zobaczyłem El. Podeszła do mnie, popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

- To nie Twoja wina, to oni nie odpuścili

Potem poklepała mnie po ramieniu, odwróciła się i odeszła.

Zniszczenie promu ostudziło zapędy arystokratów. Po kilkunastu godzinach, promy skierowały się na lądowiska na planecie. Nie zakończyło to rewolucji. Wręcz przeciwnie, uzbrojeni w algorytmy Towarzystwa Solarnego, w systemie rad zakładowch, pracowaliśmy mniej, ale dostawaliśmy więcej. Planeta nadal miała kontrakty, które miała wypełnić, więc nadal pośredniczyliśmy jako Pierwsza Radziecka Stacja w eksporcie przez tunel Einsteina-Rosena.

Jednak świadomość, że tam na dole, tacy jak my, ludzie pracy cierpią, nie pozwalała nam spokojnie żyć. Pamiętaliśmy o Annares i Urras. W końcu nasz Związek Rad zdecydował. Tego pięknego dnia stałem za El, gdy nawiązywała komunikację z Radą Królewską Nowej Brytanii. Razem ze mną stali inni zasłużeni działacze rewolucji.

- To jest nasze ultimatum - powiedziała El. - Albo natychmiast oddacie władzę i wprowadzicie demokrację, albo będziemy was atakować z orbity, aż do momentu zmiany przez was zdania.

Na wielkim ekranie komunikatora widać było, że większość szlachciców, wysportowanych, w eleganckich garniturach i fantazyjnych okularach jest po prostu rozbawiona. El była bardzo spokojna.

- Czasy się zmieniły - powiedziała El

Arystokraci już otwarcie się śmieli.

- To nic nie da - powiedziałem - Gdy lud im krwawe szpony stępi, dzień szczęścia wiecznie będzie trwał.

Towarzysze w sali przytaknęli mi. El rozejrzała się po nas, każdy był bardzo poważny.

- W waszym kierunku lecą cztery głazy, niewielkie, prawdopodobnie nie dolecą, ale ja bym na to nie liczyła. Może wasi następcy będą rozsądniejsi.

Razem patrzyliśmy ze smutkiem, bez nienawiści, jak szlachta patrzy na nas najpierw z rozbawieniem, potem z niedowierzaniem. Patrzyliśmy, jak wyjmują komunikatory. Patrzyliśmy, jak rozmawiają przez nie, a potem w panice opuszczają salę w najstarszym zamku Nowej Brytanii. Patrzyliśmy też, jak transmisja jest nagle przerwana.

Jak pisali filozofowie, rewolucja nie może się obyć bez wielkich i gwałtownych zniszczeń, rewolucja burzy w sposób zbawczy i owocny, ponieważ właśnie z ruin i tylko dzięki nim poczynają się i rodzą nowe światy.

marzec-lipiec 2019